

...opowiem ci moją historię miłosną. Długą, bo ma ponad trzydzieści lat.
Opowiem króciutko. Nie, nikt mnie nie zostawił. To ja zostałem sam.
Ją zabrano mi tam, skąd się nie powraca...

Parę dni temu przyszła do mnie we śnie z promiennym uśmiechem na twarzy. Taka żywa, jak wtedy, tamtej jesieni. Nawet widziałem zielone kolczyki w jej uszach. Położyła mi rękę na czole i to był najwspanialszy dotyk od trzydziestu lat. Słyszałem jej głos i chociaż nie pamiętam, co mówiła, widziałem bijące od niej szczęście. To było wtedy...

Ale ty nie wiesz przecież o tym. No bo skąd miałbyś wiedzieć.

Nie wiesz nawet, jakie pretensje miałem do Boga.

Bo nie stwarza się po to, żeby zabijać, prawda?

A przynajmniej ja tak myślę.

Dziesięć minut spóźnienia... To wtedy zawalił mi się świat.

Dwudziesty ósmy października 1978 roku.

W dzień moich imienin. Mieliśmy wtedy po szesnaście lat.

Jaka była? Śliczna - jednym słowem. Jej uroda była szczególna. Zawierała w sobie niezwykle połączenie cech słowiańskich i południowych. Zgrabna. Szczupła, lecz nie chuda. Miała piękne brązowe oczy, które w świetle słońca mieniły się jak bursztyn. Włosy do ramion, o kolorze świeżo wyłuskanego kasztana. Lśniące i miękkie.

Chłopaki mi jej zazdrościli, a ja czułem się niesłychanie dumny z tego, że jest moją dziewczyną.

Nasza znajomość zaczęła się na obozie sportowym w ostatnim roku podstawówki. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, wryło mnie w ziemię. To było jak błyskawica. Jak grom z jasnego nieba, tak się to mówi, prawda? Ale najważniejsze, że z nią stało się to samo. Od początku wiedzieliśmy oboje, że to MY. Nie ja. Nie ona. Ale MY. Nie potrafię tego inaczej ująć. Po jakimś czasie zrozumieli to także nasi Rodzice. Nawet byliśmy później wszyscy razem na wakacjach. Wiesz, taki wspólny wyjazd na Mazury. Na następne mieliśmy już jechać sami. Rodzice wyrazili zgodę.

Tyle dobrego miało się stać...

Dziesięć minut spóźnienia odebrało mi wszystko.

To było tak dawno temu. Ponad trzydzieści lat. A mnie ciągle wydaje się, jak gdyby zdarzyło się wczoraj, lub minionej jesieni zaledwie.

Był październik... I wiesz, taki ciepły i złoty. Ten dzień utkwiał mi w pamięci ze wszystkimi szczegółami. Chodziłem wtedy do trzeciej klasy, Isia do drugiej, choć nie w tym samym liceum. Pamiętam nawet, że miałem matkę - dwie lekcje, dwie fizy, chemię i wuef.

Ponieważ był to dzień moich imienin, Isia chciała, żebyśmy spotkali się po szkole. Kończyła lekcje zaledwie godzinę wcześniej. Mieliśmy pójść do Horteksu na lody...

Ostatni był wuef. Graliśmy mecz tego dnia. Przedłużono go niespodziewanie i ze szkoły wyszedłem spóźniony o dziesięć minut. Spieszyłem się, biegłem, żeby nie musiała martwić się o mnie. Gdy dotarłem do przystanku na którym byliśmy umówieni, zauważyłem odjeżdżającą karetkę pogotowia. Ludzie rozchodzili się powoli, słyszałem jak rozmawiają cicho. Nie spotkałem Isi.

Tylko na sąsiednim torowisku leżały rozsypane stokrotki...

I każdego dwudziestego ósmego października zanoszę je dla niej.

Zapalam znicze... Moja żona to rozumie.
Bo jeżeli się kocha, to kocha na całe życie.

Przyszła do mnie we śnie z tym uśmiechem, jakby chcąc o sobie przypomnieć. A przecież nigdy nie zapomniałem. Ale od tego czasu myślę, że chciałbym opowiedzieć o tym. Właśnie na Walentynki. To byłaby moja kartka Walentynkowa dla niej. Tylko, że nie umiem...

- Napiszesz ją za mnie? - spytał cicho. - Znam twoje wiersze. Potrafisz zrobić to lepiej.
Mnie nadal brakuje słów, gdy o niej myślę...
Skinąłem głową w milczeniu.

- Wiesz, że wyjeżdżam - dodał jeszcze. - Nie będzie mnie na Walentynki. Dlatego powiedziałem ci dzisiaj. I tutaj - rozejrzał się po małym, prawie pustym pubie, z oknami wychodzącymi na niezbyt ruchliwą ulicę.

- Stąd mam blisko... - wyjaśnił, podnosząc się i sięgając po kurtkę.
Narzucił ją i delikatnie wyłowił z kieszeni skromny bukietik stokrotek.

A później pożegnał się lekkim, trochę przepraszającym uśmiechem.
Przez chwilę śledziłem jeszcze wzrokiem jego oddalającą się postać.

Potem wygrzebałem z kieszeni jakiś ogryzek ołówka i sięgnąłem po serwetkę. Kelnerka podeszła, popatrzyła na wystygłą kawę i w milczeniu postawiła na przeciwległym brzegu stolika spodeczek z rachunkiem. I jakby wyczuwając, że nie należy mi przeszkadzać, oddaliła się cicho. Za oknem zapadał zmierzch. Rozbłyśły latarnie. Zgarnąłem notatki do kieszeni i podnosząc głowę, rozejrzałem się dookoła. Pusty uprzednio pub zaludnił się nie wiadomo kiedy. Nagle dotarły do mnie dźwięki muzyki, odgłosy rozmów i czyjś śmiech. Odliczyłem pieniądze i wstałem od stolika.

Wracając do domu pod październikowym, lekko zachmurzonym niebem, zastanawiałem się, czy potrafię napisać tę historię tak, jak on mi ją przekazał.

Nie jest moim zamiarem stawianie do konkursu opowieścią o cudzej tragedii.

Dlatego też proszę, żebyście nie traktowali jej jako tekstu prozatorskiego, wyszukując wszystkie zawarte w nim błędy.

Chcąc dotrzymać obietnicy danej mojemu przyjacielowi, starałem się na miarę moich możliwości opowiedzieć ją jak najlepiej.

Ta historia bowiem zdarzyła się naprawdę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bosski_diabel, dodano 20.01.2009 23:06

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.